DODATEK LITERACKI
DO „DZIENNIKA BERLIŃSKIEGO"
WYCHODZI CO DWA TYGODNIE.

Rok I. | Berlin, niedziela, dnia 27 listopada 1921 r. | Nr. 5.

Tęsknota za krajem.

A znasz ty kraj ten, gdzie brzegiem strumieni
Niezapominki i kaliny rosną?
Gdzie zbóż falami niwa się płomieni,
Gdzie chmiel złociste rozwiesza festony
Po szczytach olszyn usrebrzonych mchami?
Gdzie biała brzoza i jawor zielony
Błyszczą malownie nad łąk kobiercami?

O! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te lasy i niwy
Jeszcze choć raz zobaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie wzdłuż bitej drogi,
Co płynie wstęgą pod topoli cieniem,
Każdy wędrowiec, czy pan czy ubogi,
Wita przechodniów Chrystusa imieniem?
Gdzie stary bocian na dachu przesienia
Wije swe gniazdo za wiosny powrotem?
Gdzie krzyże z drzewa lub święci z kamienia
Stoją na straży przed wsi kołowrotem?

O! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te sioła, te niwy
Jeszcze choć raz zobaczę!

A znasz ty kraj ten serdeczny, wesoły,
Gdzie się gospodarz, pełen uprzejmości,
Wszystkiem, czem może, dzieli z przyjacioły,
I tęskni w domu kiedy nie ma gości.
Gdzie lud choć biedny, rad w święto się stroi.
W tańcu czy w pracy zawsze piosnki śpiewa.
Gdzie czapka chłopca i warkocz dziewoi.
Szychem się świeci, wstęgami powiewa.

O! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te stroje, te niwy
Jeszcze choć raz zobaczę!

A znasz ty kraj ten, gdzie w chwilę wesołą
Gdy grzmi od ucha zapustna kapela,
Sunie poważnie poloneza koło.
Jak szyk pancernych na nieprzyjaciela.
Gdzie rzeźka młodzież przy hucznym mazurze.
Brzękiem podkówek gromko takt wybija.
Gdzie żywym wieńcem przy piosenek chórze
W rączych się pląsach krakowiak przewija.

O! za tym krajem
Jakby za rajem
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te tańce, te niwy
Jeszcze choć raz zobaczę!

KONSTANTY GASZYŃSKI.

LUDWIK MASCHOFF.

TA OBCA

(Dokończenie.)

Wolno i miarowo kołysały się konary drzew. Szum zwieszających się gałęzi łączył się ze szeptem fal morza. Przez konary przedzierały się złote promienie słonca.

Sven leżał na ziemi, ramiona skrzyżował pod głową i patrzał do góry. Ingrid obok niego przechylając się ku niemu, spiera głowę na ręku.

— Sven, o czym marzysz?

— Gdyby się teraz skrawek nieba otworzył i możnaby było zaglądnąć do wnętrza i życie przyszłe widzieć, toby to było największym szczęściem jakie by mnie spotkać mogło. Może także wszystkich ludzi. Ja lubię śnić o niebie. Często w nocy, gdy zupełna cisza zalegnie do koła, marzę o tym, że płynę nad chmurami. Patrzę się z góry na ziemię, widzę płomyki małe, gasnące, to znowu jasnym wybuchające światłem i mam uczucie, jakby mnie jakaś niewidzialna siła, unosiła ze sobą. I tak chciałbym płynąć dalej, coraz dalej. Chciałbym po złotych promieniach, jak po rozpostartych drogach biedz do słońca i wrócić na ziemię z krużą pełną światła. Chciałbym ludzkości przynieść ze sobą iskrę szczęścia, nasienie prawdy, aby ich dusze uleczyć. Marzę o tym czasem, że się jakiś cud spełnić musi i na objawienie się jego czekam jak dziewica. Ma dusza jest czystą jako krople rosy na kwiatach, me serce jeszcze szałem żądzy nie spłonęło. Wszystkie me siły gromadzę w sobie, aby przed cudem nie upaść na twarz i aby godnym stać się objawieniu.

Ingrid poczęła na jego nagich piersiach lekko palcami kreślić koła.

— I o czym jeszcze w nocy marzysz Sven?

— I czasem jeszcze o tym, że wielkich czynów dokonam.

— Lecz przedtym w młodzieńca musisz się przemienić.

Ingrid zamilkła, Sven marzył. Czuł tylko, jak palce jej lekko suwały się po jego piersiach i jak jej oddech stawał się szybszym i głośniejszym.

— Co tobie Ingrid? Twe oczy płoną i mają taki dziwny wyraz w sobie.

— Ja marzę, że w tobie obudzę mężczyznę, Sven. Do wielkich czynów dzieci się nie nadają.

— Gdy czasem w nocy o tym śnię, że po marmurowych schodach idę do góry i jakieś niebiańskie śpiewy aniołów mnie witają...

Ingrid się uśmiechnęła.

— Dziecko, czy nigdy się w tobie mężczyzna nie zbudzi? Czy te płowienne nocne snów rojenia, silniejsze będą niźli powrót wiosny? Czy ciebie nigdy żaden głos nie woła i się rozkoszy nie stwarzają mary.

Sven zamknął oczy i śnił.

Dziwna, nie pojęta muzyka grała w przestworach. Jakieś echa ułożnych pieśni płynęły nad nim, słyszał szum skrzydeł niewidzialnych ptaków i błoga bezsilność upajała zmysły jego. Ingrid była nad nim pochyloną. Czuł jej oddech na swej twarzy, czuł jak jej dłonie rozwarte wolno się przesuwały po jego szyi, piersiach, jak się kurczowo wbiły w jego ciało... I nagle zdało mu się, jakby jej usta różane wssały się w jego wargi, jakby jej piersi nagie, gorące wsparły się na jego piersiach, jakby wzdłuż swego ciała czuł jej uda drżące... I zdało mu się, jakby ramiony białe, jak węże otoczyły szyję jego i cisły do siebie...

Niebiańskie śpiewy ulotnych pieśni płynęły w górze i błogie uczucie bezsilności pieściło mu zmysły.

— Sven, słyszał jej cichy szept przepojony gorącym oddechem, Sven zbudź się, bądź młodzieńcem... Sven... Sven...

On całował jej piersi nagie, wił się w nieznanej, niepojętej męce, trzymał ją w swych ramionach...

— Ingrid, czyżby teraz miałby się cud objawić, czyżby się cele życia ziścić miały? Ingrid, ty boska, — Ingrid, ty moja...

— Sven, bądź młodzieńcem... Sven...

. . . .

Słońce w oddali tonąc we wody, gasnęło. Ingrid ze Svenem wracała do brzegu. Ujęła wiosła w swe dłonie i pracując nimi, pruła czółnem falę.

— Sven, czemu milczysz?

On na nią spojrzał wzrokiem wściekłym, pełnym wyrzutów.

— Ty tygrysico w postaci kobiety. Tyś mej młodości stargała marzenia i cel mego życia obróciłaś w niwecz. Tyś spokój duszy zabrała na zewsze i to obce, nieznane, dalekie, za czym ja tęskniąc tylko marzyć mogłem, dałaś mi poznać. Już mię tęsknota naprzód rwać nie będzie i ideałów opuściły siły. Ingrid, ja chwile te teraz przeklinam, w których raz pierwszy ciebie zobaczyłem. Ingrid, ty lwico żądna krwi mojej.

— Sven, żal ci jest szału, którym raz pierwszy serce twoje biło?

— Tyś mi tym szałem serce me zatruła i mi tą nicość pokazałaś życia, przed którą z trwogą uciec chciałem w dale. Mój lot do słońca dzisiaj się zakończył, i próżne kruże przynoszę ze sobą, im jest biedniejszy aniżeli żebrak.

Ingrid się uśmiechnęła.

— Jam jest szczęśliwą, że się teraz spełnił, sen moich marzeń. Jutro stąd odejdziesz i mnie zapomnisz, tak jak ja ciebie.

Ingrid, krzyknął Sven przeraźliwie, tyś już za-pomniała!

Przyskoczył do niej i obejmując jej szyję palcami, zaczął kurczowo je zaciskać. Ona broniąc się, uderzyła go wiosłem w czoło. Krew bryzgnęła... Sven stanął zamroczony chwytając powietrze rękoma, czółno się zakołysało i runął w głębiny.

Woda się w koło poczęła czerwienić...

Ingrid szybko się oddalała.

A gdy w pobliżu znalazła się fjordu, zwiesiła wiosła na hakach i patrząc na wyspę pozostałą w dali, dała się falom unosić do brzegu.

Na wyspie Rugi, 1921 r.

Dzielny chłopiec.

(Obrazek z powstania 1863 roku.)

Była to zima, pamiętna zima 1863 roku. Śnieg padał gęsto i zasypywał ślady ludzkich nóg, które przeszły przez las przed dwoma godzinami zaledwie.

W miejscu, gdzie leśne drogi rozchodziły się w dwie przeciwne strony, stała chatka leśnika, a w niej było dwoje ludzi: babka staruszka i dwunastoletnie chłopię. Leśnik wyszedł z chaty, bo poprowadził przez las powstańców, chcąc im wskazać drogę, która wiodła do miejsca, gdzie zbierał się większy oddział, a żona jego wybiegła do dworu dać znać, że nowsi ochotnicy znowu przyszli.

Choć to była dopiero czwarta godzina może, już w chacie było prawie ciemno. Chłopak zapalił łuczywo, a babka przystawiła do ognia garnek z kartoflami.

Nagle zdało się chłopczynie, że słyszy jakieś głosy. Nastawił uszu, zbladł i szepnął:

— To Moskale jadą babuniu,

Babka opuściła garnek i stanęła jak wryta.

Jeszcze chwila strasznego wyczekiwania, a drzwi rozwarły się z trzaskiemi i w progu chaty stanęli dwaj kozacy.

— Hej, którędy przeszli powstańcy?

Przerażona kobieta nie odrzekła ani słowa, stała jak skamieniała i błędny wzrok utkwiła w żołnierza.

— To warjatka, albo głucha, — mruknął drugi kozak i zwrócił się do chłopaka.

— Czy wiesz, którą drogą poszli Polaki?

— Wiem — odparł śmiało chłopak, w którego głowie błysnęła nagle myśl, i wskazał drogę, wręcz przeciwną..

— Weź go ze sobą na siodło — rzekł oficer — niech prowadzi.

Pojechali, a chłopak myśli: — Nim cały las przejedziemy, nasi będą już daleko i już ich nie dogonią. — Nareszcie las zaczął się przerzedzać.

— Stój — rzekł oficer — las się kończy, a ich niema. Chłopcze, ty nam wskazałeś fałszywą drogę!

Chłopak milczał.

— Przywiązać go do drzewa i rozstrzelać! — zagrzmiała komenda.

I w mgnieniu oka skrępowano biedne chłopię i przywiązano je do drzewa. Już żołdak moskiewski wyciągnął karabin i wymierzył, gdy oficer zawołał:

— Zostawcie go, niech go pożrą wilki. I tak w nocy nikt go nie odszuka, a do rana zmarznie, bo mróz bierze tęgi.

I pojechali, a chłopak został sam jeden. Gdy ucichł tętent kopyt końskich, chłopak pomyślał:

— Ich już nie dogonią.

Potem spróbował uwolnić rękę z więzów, ale była mocno skrępowana. Uczuł jakieś dziwne osłabienie, spać mu się chciało, w myśli stanęła stara babka i ciepły przypiecek i garnek gorących kartofli. Pewno babka go szuka ale czy starowina tu dojdzie, ona już dawno nie wychodziła z chaty, bo nogami ledwo suwa. Wśród tych myśli senność go ogarnęła, pochylił głowę i zaczął tracić świadomość swego położenia.

Naraz rozległ się tętent kopyt końskich; chłopak go usłyszał, ale już nie mógł podnieść powiek, aby zobaczyć, kto to taki jedzie.

Koń stanął, a z niego zeskoczył kozak, szybko zaświecił małą polową latarkę, którą miał przy sobie, poprzecinał przy jej blasku sznury, krępujące ręce dziecka, zdjął własny płaszcz, ułożył na nim chłopca, nalał mu w usta trochę gorzałki i zaczął rozcierać zziębnięte członki.

Zmarznięte dziecko ocknęło się.

— Chodź — rzekł kozak — posadzę cię na mego konia i odwiozę do domu.

Chłopak rzucił się na szyję kozaka, ale w tejże chwili cofnął się i szepnął:

— Tyś Moskal. Ty idziesz zabijać naszych.

— Nie dziecię. Jam Polak, przymuszony do służby moskiewskiej. Uciekłem. Prowadź mnie do ojca, abym jaknajprędzej połączył się z moimi rodakami.

Na te słowa oczy chłopca błysnęły radością, znowu wyciągnął ręce do moskiewskiego żołnierza, ale cofnął je po raz wtóry.

— A może ty zdrajca? — szepnął wahając się, — Tatuś nie kazał ufać Moskalom.

Twarz kozaka spochmurniała, rzucił okiem na swój ubiór i rzekł:

— Wiem, że dokąd nie zrzucę z siebie tego ubrania, nikt mi nie wierzy, ale prowadź mnie co-prędzej do twego ojca, dla niego mam taki dowód, że go przekonam od razu. Ale i dla ciebie dowód znajdę.

To rzekłszy, rozpiął mundur, wydobył mały medalik, wieszący na piersi, i pokazał go chłopcu. Promień latarki oświecił obrazek, a chłopak ujrzał Najświętszą Pannę Częstochowską.

— Nachyl się — rzekł kozak, zbliżając latarkę do medalika — i przeczytaj napis.

Chłopak wytężył wzrok i przeczytał te słowa: „Królowo korony polskiej, módl się za nami“.

— Czy sądzisz, że Moskale noszą na piersiach takie obrazki? — zapytał.

— Nie. Teraz wierzę ci. Poprowadzę cię do ojca, a on niech osądzi, co ma czynić.

Kozak posadził osłabionego jeszcze bardzo chłopca z tyłu za siodłem, wskoczył sam na konia, usiadł na siodle, i rzekł:

— Trzymaj się mnie dobrze, bo i tak straciłem dużo czasu, a od pośpiechu zależył ocalenie powstańców, którzy się kryją w tym lesie.

Niedługo przybył chłopiec z obcym człowiekiem do domu.

Obcy żołnierz był naprawdę Polakiem, a dowiedziawszy się o wszystkiem, rzekł do dzielnego chłopca:

— Ocaliłeś oddział powstańców od zguby. Wyrośniesz kiedyś na zacnego człowieka i dzielnego obrońcę ojczyzny.

Do starego leśnika zaś wyrzekł:

— Jeśli Polska mieć będzie więcej takich dzieci, to nie zginie. Walki nasze przynieść raz muszą jej wolność.

Pokazało się, że obcy żołnierz miał ważne informacje dla powstańców, wiedział on bowiem o ruchach wojsk rosyjskich i z jego pomocą powstańcy opanowali wkrótce cały pobliski teren.

O Słowianach.

Na bezmiernym obszarze od Łaby i Odry aż do Dniepru i Wołgi siedział lud cichy i spokojny. Różną mową bogów swych chwalił, ale rozumiał przecież bra i swoich, nawet daleko mieszkających, bo z jednego rodu byli wszyscy.

Byli gromadą ludów szeroko rozlaną, nad którą eden panował bóg, jeszcze podówczas pogański. Wyobrażano sobie tego boga w postaci człowieka o czterech głowach, patrzących na wsze strony. W pewnych okolicach nosił miano Jarowita, gdzie indziej nazywano go Świętowitem. I Radegast było jego imię i Piorun lub Prowe. Ale bóg to był jeden, władca światłości, wielka, jasna, słoneczna, gromowładna potęga, mocarz ponad chmury i noc ciemną, w której Bies mieszkał i złe Licho.

Świętowitowi w poświęconych gajach świątynie stawiano, t. zw. kontyny, jemu kapłani i lud cały znosił obiaty, tj. ofiary.

Na kontynach zewnątrz i wewnątrz gwarzyły rzeźby o jego potędze i wystające ze ścian wyobrażenia ludzi i zwierząt, w wielu barwach malowane. Ku ozdobie i czci Świętowita skarby znoszono do jego świątyń i broń nieprzyjacielską w bitwie zdobytą dzbany złote i srebrne dla uczty i wróżby, rogi ogromne dzikich turów, złocone, miecze i noże i różny sprzęt kosztowny.

Wielki, jasny, na cztery strony patrzący Swiętowit był władcą ludzi i bogów mniejszych, podwładnych, po całym świecie mieszkających, tak na ziemi, jak i pod ziemią, w wodzie, powietrzu i chmurze, równie jak i w starych drzew dziuple.

Tych bogów mniejszych, dobrych i złych duchów, było bezmała tyle, co ludzi na świecie.

Kmieć, w domu siedzący, wierzył, że tuż koło niego duchy domowe mieszkają: Bożęta, Gospodarczyki albo Chowańce albo Podziomki. Było to dobre duchy, co krowom mleka dodają, kurom mnożą jaja, a gospodyni dobytek

Ale zato na rozstajach dróg i uroczyskach strasznie bywało Trzy siostry Nędze bowiem tamtędy chadzały, koścista Bieda krążyła, jęcząc, a kto na nią spojrzał, temu dola była ciężka na świecie; czasem śmierć — Morowa Dziewica chustą wiała skrwawioną i ludzie marli podówczas, jak muchy.

I dalej po łąkach i polach różne boginki mieszkały zwodnicze, z którymi lepiej nie spotykać się człowiekowi. Były to Jędze albo Wiły, Dziwożony, Południce. Koło cmentarzysk zawsze duchy zmarłych krążyły, Dziady, którym ofiary składać należało.

Najwięcej istot nadludzkich mieszkało po lasach, które olbrzymiemi szmatami kraj cały pokrywały, jako ogromne, pełne dzikiego zwierza, puszcze. Ponad wszystkimi bogami leśnymi najstarszy był Duch Leśny czyli Leśnik, który rożne psoty wyprawiał, a najbardziej nie lubił i mścił się, gdy chciwi ludzie drzewa wycinali w lesie i w ten sposób królestwo jego uszczuplali. Obok niego Rusałki mieszkały w leśnych ustroniach, a na moczarach Wiłkołaki. Rusałki rozpalały błędne ogniki, wodząc mdłem ich światełkiem podróżnych na manowce. Wiłkołaki zaś piły najchętniej krew ludzką.

Nad wodami znowu panował Wodnik czyli Król Morki. Dwór jego, w głębinach jezior położony, Topielce otaczali i Topielice. Niebezpieczne to były duchy, albowiem czyhały na kąpiących się i nieostrożnych wciągały zdradziecko w bezdenne tonie.

Pośrednikiem między wodą a chmurami był Smok-Tęcza. On to jednym ramieniem swojem siedmio-

barwnem wyciągał wodę z rzek, stawów i źródeł, a potem niósł ją wysoko ku chmurom, dostarczając wody, aby miały czem pola skrapiać i łąki. Na każdej chmurze siedział Płanetnik i kierował nią, gdy po niebie płynęła, lotna, jak kędzierzawy baranek, albo ciężka i ołowiana, jak wówczas, gdy grad spada na plony albo słota rozmokła.

Pod ziemią wreszcie Krasnoludki mieszkały, drobne karzełki, zwane niekiedy Paluszkami. Dobry to był drobiazg i zawsze prędzej pomógł człowiekowi, aniżeli zaszkodził.

Taka była wiara prastarych Słowian.

Głównem ich zajęciem było rolnictwo i chów bydła. Serdecznie do ziemi rodzinnej przywiązani, umieli jej bronić aż do ostatniej kropli krwi. Zresztą na wojnę ruszali niechętnie, bo ludem spokojnym byli i dziwnie pogodnym.

Zwierz dziki odzienia im dostarczał, barć leśna miodu, ziemia-rodzicielka chleba. Wszystkiego mieli poddostatkiem, cudzego więc nie pożądali — nie byli chciwi łupów i zaboru.

Ich życie podobne było do życia jednej rodziny, rozrodzonej tylko na plemiona. Ci, którzy od jednego praojca pochodzili, zawsze trzymali się razem, koło siebie mieszkali, szli razem na wojnę, pod rodową zbierając się chorągwią.

Przez długie wieki nikt nawet nie słyszał o nich. Byli ludem wolnym i pokój miłującym.

Franciszek Jaworski

Co to jest termometr?

Jest to, zdaje się, przedmiot powszechnie znany i powszechnie używany, a jednak wielu nie rozumie, na czym polega jego działanie i niedostatecznie ocenia ważność termometru w życiu codziennym. Chcę zatym kilka słów o termometrze napisać.

Już od bardzo dawnych czasów wiemy, że prawie wszystkie ciała ogrzewane rozszerzają się, a w zimnie kurczą się i maleją. Kowal wie, że na koło nakłada się tylko obręcz nagrzaną, gdyż po oziębieniu nie weszłaby na koło.

Ciała stałe w tej samej temperaturze czyli ciepłe rozszerzają się powolniej i mniej od gazów, a płyny od ciał stałych.

Tylko niektóre ciała zachowują się odmiennie; naprzykład kauczuk przy ogrzewaniu kurczy się, przy oziębianiu rozszerza się, gdy zamarza na lód.

Ponieważ zatym każda zmiana ciepła czyli temperatury jakiegoś przedmiotu zmienia też jego objętość, przeto łatwo jest zrozumieć, że jeżeli objętość jakiejś rzeczy się powiększa, to jest ciepiej, a jeżeli się zmniejsza, to jest zimniej. W ten sposób zmiana objętości jakiejś rzeczy mierzymy temparaturę, czyli ciepło.

Dobrze, powie ktoś, ale skąd wiem, że przedmiot, którym mierzę temparaturę innego przedmiotu, ma tę samą temparaturę co ten przedmiot. Otóż doświadczenie wykazuje, że w przedmiotach do siebie zbliżonych temparatury się wyrównują. Na tym polega ogrzewanie mieszkania przez piec.

Otóż, opierając się na tych dwóch ważnych doświadczeniach, zbudowano przyrząd do mierzenia ciepła, czyli temparatury, tak zwany termometr.

Próby używania ciał stałych, naprzykład żelaza nie dały pomyślnych wyników, gdyż ciała stałe tylko nieznacznie zmieniają swą objętość pod wpływem zmiany temparatury. Sztaba żelazna na 10 łokci długa, mocno zagrzana, wydłuża się tylko o jedną dziesiątą cała. Wobec tego zwrócono się do płynów, gdyż gazy są za mało widoczne i są zanadto prężne. Próbowano najpierw używać wody. Okazało się jednak, że woda jest złym miernikiem ciepła, gdyż marznie od byle mroziku, a od gorąca wre i paruje. Po drugich próbach przekonano się, że najlepiej do mierzenia temparatury nadaje się ciecz, zwana rtęcią. Jest to srebrzysty, ciężki płyn, bardzo ruchliwy, zwany także żywem srebrem. Otóż rtęć rozgrzana rozszerza się bardzo znacznie i równo, a oziębiana kurczy się także w sposób widoczny i równy. Przytym marznie ona daleko trudniej od wody, paruje nieznacznie, a wre dopiero od mocnego gorąca.

Ażeby móc użyć rtęci do mierzenia temperatury, trzeba ją wlać do szklanego naczynia. Bierze się naczynie szklane, gdyż szkło, jako przezroczyste, pozwala widzieć wszelkie zmiany objętości rtęci, a po drugie — szkło pod wpływem zmiany temperatury tylko nieznacznym ulega zmianom.

Naczynie szklane, do którego wlewa się rtęć, ma kształt szklanej rurki, na jednym końcu zalutowanej, a na drugim rozdętej w banieczkę. Bańka i mniejsza część rurki wypełniona jest rtęcią. Obok rurki jest podziałka, pokazująca stopnie. Jest kilka takich podziałek.

Najbardziej znane i używane są podziałki Celzjusza i Reomiura. Podziałki robi się w ten sposób, że termometr zanurza się w pokruszony topniejący lód i miejsce do którego wtedy podniesie się rtęć oznaczamy zerem (0). Zero zatem na termometrze pokazuje temparaturę, w której lód się topi. Jako drugi punkt stały obrano wrzenie wody i miejsce do którego podnosi się rtęć w termometrze, zanurzonym we wrzącej wodzie, oznacza Celzjusz liczba 100, a Reomiur liczbą 80. Następnie Celzjusz dzieli przestrzeń między 0 a 100 na sto stopni czyli części. a Reomiur na 80 części. W ten sposób wkładając termometr do cieczy, do gazu, lub człowiekowi pod pachę, możemy stwierdzić na podstawie podziałki, na ile stopni rtęć się podniosła czy spadła, czyli jaka jest temparatura mierzonej rzeczy. Najtrudniej mierzyć temparaturę ciał stałych, gdyż te najpowolniej wyrównywują swe ciepło z otoczeniem, wobec czego termometr nie może ściśle zmierzyć ciepła ciała stałego.

W jaki sposób oznacza się temparaturę jakiegoś ciała naprzykład powietrza?

Termometr trzyma się na powietrzu, czy w innym gazie, lub płynie i patrzy się na rtęć, do jakiego stopnia podniesie się. Więc naprzykład rtęć podniosła się o 20 kresek czyli stopni na podziałce Celzjusza powyżej zera, co się pisze $+20^{\circ}$ C. Znak $+$ oznacza, że rtęć podniosła się powyżej zera, kółko przy liczbie oznacza stopień, liczba — ilość stopni, a C., że mierzymy według podziałki Celsjusza. Spadek rtęci poniżej zera oznacza się znakiem —, a podziałkę Reomiura literą R.

Termometru używają obecnie wszyscy, szczególne jednak znaczenie ma dla lekarza, uczonego, inżyniera w fabryce, górnika itp.

4 B

Humor i satyra.

Autentyczne.

— Panie doktorze potrzebuję zasięgnąć rady, ale pragnąłbym, aby nam nikt nie przeszkadzał... Kiedy mam się do niego zgłosić?

— Najlepiej w godzinach kiedy przyjmuję pacjentów. Przyjdź pan pomiędzy 3 a 5-tą ręczę, że będziemy sami.